



Teodor Jeske-Choiński

KOBIETY

REWOLUCJI FRANCUSKIEJ

Armoryka

Teodor Jeske-Choiński

KOBIETY

REWOLUCJI FRANCUSKIEJ

Armoryka
Sandomierz 2018

[Kup książkę](#)

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce: *Femmes de la halle sous la Révolution* (1843), book: „Les Français sous la Révolution”; A. Challamel & W. Temint; dessin de H. Baron & gravure de L. Massard, licencja public domain, źródło: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Femmes_de_la_halle_Révolution_française.jpg

Wydanie na podstawie edycji warszawskiej z roku 1906.
Pisownię nieznacznie uwspółcześniono.

Copyright © 2018 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-574-5

[Kup książkę](#)

I. ZNACZENIE KOBIETY FRANCUSKIEJ W XVIII STULECIU.

Padła stara Francja...

Ideały, wierzenia, pojęcia, tradycje, które przyświecały „najstarszej córce Kościoła” przez lat tysiąc, bladły, gasły. Przewodnicy, którzy ją prowadzili poprzez mroki średniowiecza i pierwsze wieki nowych czasów, (szlachta i duchowieństwo), znużyli się, wyczerpali. Nadeszła likwidacja całej przeszłości, zakończona zdruzgotaniem istniejącego porządku (rewolucja).

Tysiąc lat był ksiądz katolicki nie tylko duszpasterzem, ale także pierwszym cywilizatorem barbarzyńskiego Franka. Z ewangelią w rękę, uzbrojony w nakazy miłosierdzia, litości, pobłażliwości i dobroci, trzymał na obroży gwałtowną duszę niesfornego rycerza, polerował ją, wyszlachetniał, tłumił jej samowolę, grożąc zuchwałemu karą nieba; budował kościoły, zakładał klasztory, pisał księgi, uprawiał role, zasłaniał potężną ręką słabego przeciw pysze mocnego. Kto stanął na jego ziemi, zdołał się schronić za furtą klasztorów, za bramą kościołów, banita czy skazaniec, ścigany albo prześladowany, był bezpieczny. Najmożniejszy pan nie śmiał naruszyć przywilejów „azyłu”.

Teraz, w stuleciu osiemnastym, stracił ksiądz swoje dawne znaczenie. Podkopał je krytycyzm wiedzy, która przeszła z rąk duchownych w ręce świeckie. Rewolucja ta zaczęła się już z chwilą Odrodzenia. Odzywała się zrazu ostrożnie, atakując tylko powagę Kościoła, rosnąc jednak z każdym pokoleniem, wybuchła ostatecznie jawnym buntem przeciw wierze, przeciw religii w ogóle.

Niezwykły we Francji XVIII stulecia rozkwit nauk ścisłych (matematyki, astronomii, fizyki, chemii, zoologii i t. d.) dokonał dzieła rozpoczętego przez Odrodzenie i Reformację. Krytycyzm burzył teraz szybko podwaliny wiary. Zaczawszy od druzgotania powagi Kościoła (Voltaire), skończył na materializmie, na samowładztwie rozumu (La Mettrie, d'Holbach, encyklopedyści). Kult Rozumu rewolucji francuskiej był ostatnim słowem, koroną tego zamacha na wiarę.

Indyferentyzm religijny i ateizm, wyszedłszy z gabinetów i laboratoriów wiedzy, ogarnęły szerokie koła inteligencji francuskiej XVIII stulecia, nie wyłączając światlejszego duchowieństwa. Wytworni prałaci i światowi *abbé*'owie paryscy lekceważyli tak samo uczucia religijne, jak świeccy krytycy. Dawniejsza cześć dla kiera zmieniła się w pogardę, w końca (podczas rewolucji) w nienawiść.

Tysiąc lat był szlachcic francuski puklerzem i mieczem ziemi francuskiej. Z wieży swojego zamku czuwał dzień i noc nad bezpieczeństwem okolicy, powierzonej jego opiece; gdy nieprzyjaciół zagrażał granicom państwa, siadał na konia i szedł za panem lennym, za księciem lub królem, na pola krwawe, znosił bez skargi trud i ból wojny, oddawał życie. Klócił się, bił z sąsiadem, buntował się od czasu do czasu przeciw królowi, ale ziemi francuskiej bronił zawsze, odważny, waleczny.

Z chwilą jednak gdy król wziął na siebie całą troskę o bezpieczeństwo zjednoczonego państwa (*l'état c'est moi*), gdy Ludwik XIV, zamykając dzieło swoich przodków, złamał ostatecznie niezależność indywidualną szlachcica, rzuciwszy go pod stopnie absolutnego, samowładczego tronu, skończyło się posłannictwo rycerza. Jego miecz, zastąpiony przez karabin werbowanego zewsząd żołnierza, stał się niepotrzebny.

Strącony przez koronę ze swojego posterunku szlachcic, przebrał się w miękkie, jedwabne suknie, zgnuśniał, stał się wykwintnisiem, salonowcem, bawidamkiem. W wielkich miastach filozofował razem z filozofami, drwił z religii z *abbé'ami* – na wsi pleśniał, rdzewiał.

Od samego początku XVIII stulecia rozkłada się, sypie w gruzy dawna Francja *ancien régime*. Idee, pojęcia, wierzenia, cele, które zapalały przez lat tysiąc wyobraźnię i serca klas przodujących, pobudzając je do czynu, do energii, stają się próchnem, więdną, murszeją, gasną; razem z niemi murszeją przedstawiciele starej kultury (szlachta i duchowieństwo), spychane przez żywioły nowe, świeższe, jeszcze niezużyte, z mostku kapitańskiego nawy państwowej. Inne ideały potrzebują innych ludzi, innych wykonawców.

Kiedy męska połowa klas przodujących słabnie, gnuśniej, traci energię, przestaje rozumieć głos ducha czasu, występuje kobieta na sam przód historii.

Od samego początku XVIII stulecia wysuwa się kobieta na pierwszy plan. Widać ją wszędzie, na dworze królów i w gabinetach ministrów, gromadzi ona dokoła siebie w salonach kwiat arystokracji rodowej, duchowieństwa i inteligencji – rządzi, miesza się do polityki, nauki i literatury. Historyk Francji XVIII stulecia widzi jej drobną rękę we wszystkich ważnych wypadkach tej twórczej epoki. Nie królowie i ministrowie rządzą, lecz właściwie panie: de Prie, de Mailly, de Chateauroux, de Pompadour, du Barry, de Polignac, de Staël, Roland i inne. Metresy królów, żony i krewne ministrów, w końcu awanturnice buduarowe wpływają stanowczo na przebieg wypadków historycznych, wtrącają się nawet do planów bitew, do wojny.

Literatura, nauka i sztuka francuska XVIII stulecia stoją pod szczególną opieką kobiety. W salonach jej gromadzą się wszyscy znakomici pisarze i artyści epoki. Ona popiera młode talenty, wyrównywa już uznanym drogę do Akademii, wyjednywa dla nich pensje króla, zaszczyty, godności. Kogo ona poprze, ten staje się sławnym w przeciągu krótkiego czasu (Marmontel, Laharpe), kto nie umie sobie zaskarbić jej względów, ten musi czekać długo na sławę, choćby był nawet takim lwem, jak Diderot. Każdy autor lub artysta czepia się spódnicy jakiejś powszechnie znanej protektorki. Voltaire'a wprowadza w świat i zasłania go przed gniewem dworu księżna de Richelieu; Rousseau'em zajmuje się gorliwie marszałkowa de Luxemburg; księdza Barthélemy'emu robi sławę księżna Choiseul. Robé i Roucher, Colardeau, d'Arnaud i de Guicert, Dorat i Florian, Watteau i Greuze – wszyscy, wielcy i mali, genialni i średnio uzdolnieni znajdują w łasce kobiety źródło sławy, stanowiska towarzyskiego, pieniędzy. „Kobieta francuska XVIII stulecia – mówią bracia de Goncourt w swoim stadyum p. t. „La femme de dix huitième siècle” – jest pierwiastkiem, który rządzi, rozumem, który prowadzi, głosem, który rozkazuje. Ona jest przyczyną powszechną i fatalną, źródłem wypadków; ona przewodniczy epoce. Nic nie wymyka się spod jej władzy. Ona trzyma w swym ręku króla i Francję, wolę monarchy i opinii publicznej. Rozkazuje na dworze i jest panią swojego ogniska domowego. Rewolucje aliansów i systemów, pokój i wojnę, literaturę, sztukę i mody – wszystko niesie w fałdach swojej spódnicy, nagina do swoich kaprysów i namiętności. Niema ani jednego skandalu, ani jednej katastrofy, ani jednego wielkiego wypadku w stuleciu XVIII, w którymby nie brała udziału, wnosząc do nich niespodzianki romansu. Wyobraźnia jej siedzi przy stole

doradców korony. Ona dyktuje, stosownie do swoich upodobań, sympatii i antypatii politykę wewnętrzną i zewnętrzną, daje instrukcje ministrom i ambasadorom. Ona narzuca swoje idee, pragnienia, styl nawet, język swój, dyplomacji... Kobieta dotyka się wszystkiego, jest wszędzie. Jest światłem, ale także cieniem tej epoki, w której wielkich tajemnicach historycznych ukrywają się zawsze na ich dnie namiętności niewieście – jakaś miłość, jakaś nienawiść, jakaś zazdrość... Kobieta oplata tysiącami swoich wpływów całą administrację królestwa. Usilnością swoich zachodów, rozległością swoich stosunków, zręcznością, namiętnością, uporczywością starań obsadza swoimi kreaturami wszystkie urzędy państwa”. (Edmond et Jules de Goncourt, *La femme du dix-huitième siècle*, wyd. z roku 1903, str. 371-374).

Zręczność kobiety francuskiej XVIII w. w protegowaniu swoich wybrańców maluje doskonale Marmontel (*Mémoires*), który zawdzięczał tej zręczności rychłą sławę i niezależność materialną.

Mówi Montesquieu w swoich „Listach Perskich”: „Nie ma nikogo na urzędach dworskich w Paryżu i w kraju, za kim by nie stała jedna z kobiet, przez których ręce przechodzą wszystkie łaski i niekiedy niesprawiedliwości. Te kobiety pozostają z sobą w ciągłych stosunkach i tworzą rodzaj rzeczpospolitej, której zawsze czynni członkowie pomagają, służą sobie nawzajem. Ta rzeczpospolita jest jakby państwem w państwie. Kto znajduje się na dworze, w Paryżu, albo na prowincji i patrzy na działalność ministrów, urzędników i prałatów, a nie zna kobiet, które nimi kierują, ten widzi wprowadzić pracującą maszynę, ale nie dostrzega jej sprzęzyn. (Montesquieu, *Lettres persanes*).

Królestwo kobiety francuskiej w epoce przedrewolucyjnej było naturalnym wytworem chwili przejściowej.

Stara kultura – kultura królów, szlachty i duchowieństwa rozsypywała się w gruzy. Król, spełniwszy, co miał do spełnienia, zgnuśniał; szlachcic, pozbawiony przez króla znaczenia politycznego, przestał być rycerzem, a stał się światowcem; prałat, owiany krytycyzmem czasu, zaczął się wstydić żarliwości religijnej.

Mężczyzna stanów uprzywilejowanych, wyczerpany trudem umysłowym i fizycznym wielu pokoleń, stracił dawniejszą energię, rzutkość – słabł, słabość zaś mężczyzny jest zawsze siłą kobiety. Czynne życie w radzie i boju gasnących władców ustąpiło miejsca pracowitemu próżniactwu życia towarzyskiego, salonowi, w salonie zaś króluje zawsze kobieta.

We wszystkich chwilach przejściowych, na przełomie dwóch epok, podnosi się płeć słaba z zależności, w jaką ją zdrowa, silna płeć mocna wtrąca, o władzę swoją, o prymat zazdrosna. Pomagają jej, oprócz rozkładu tradycji historycznych i omdlenia energii kasty rządzącej indyferentyzm i libertynizm religijny i etyczny, zamykające zwykle jakąś zwięzłą kulturę. Za indyferentyzmem i libertynizmem etycznym idzie rozwiązłość obyczajów, głód rozkoszy zmysłowych, najhojniejszym zaś szafarzem słodyczy tej ziemi jest kobieta.

Oto dlaczego zgnuśniały mężczyzna-sybaryta kładzie się do jej stóp, spełniając za rozkosz życia posłusznie jej rozkazy i kaprysy. A ona, silniejsza od niego, bo zależna, bierna, nie-dopuszczona do roboty dziejowej przez szereg wieków, nie zażyła tyle energii dziejowej, ile on, chwyta śmiałą ręką berło i rządzi dopóty, dopóki nowa, świeża rasa męska nie zajmie posterunków, opuszczonych przez niedobitków skończonej kultury.

Tak było w Grecji sofistów, w Rzymie późniejszych imperatorów – tak było we Francji ostatnich Ludwików.

Odczytując pamiętniki francuskie z epoki przedrewolucyjnej, doznaje się wrażenia, jak gdyby mężczyzna był tylko narzędziem sprzętem kobiety. Nawet żargon światowy kładzie się do jej stóp. Nie mówi się: idziemy z wizytą do państwa X., złożyć uszanowanie państwa Y., lecz zawsze tylko: *on va voir, Madame, faire la Partie de Madame, diner avec Madame*. Pani przyjmuje, ugaszcza, bawi gości, reprezentuje, pan zaś, mąż, stoi na uboczu, w cieniu, nudzi się zwykle a siebie, czekając niecierpliwie na jakiś pretekst, który by mu pozwolił wymknąć się niepostrzeżenie z domu, czego mu zresztą nikt z gości nie bierze za złe, nie do niego bowiem przyszli, nie jego towarzystwa pożądają. W słynnym salonie pani Geoffrin, w którym bawiły się, dysputowały wszystkie znakomitości francuskie i zagraniczne XVIII stulecia, nie słyszy się nigdy o panu Geoffrin, chociaż ten pan Geoffrin istniał, bywał nawet dość często obecnym na przyjęciach pani.

II. WYCHOWANIE KOBIETY FRANCUSKIEJ XVIII STULECIA

Szlachciankę francuską XVIII stulecia chowano głównie dla życia towarzyskiego, dla t. zw. świata (*vie mondaine*).

Matka córki „dobrze urodzonej”, zajęta cały dzień ubieraniem się, przebieraniem, wizytami, przyjęciami, teatrem, operą, nie miała czasu do karmienia dziecka. Oddawała niemowlę na wieś, „na mamki”, albo „na garnuszek”, a potem, gdy odkarmiona dziecina wracała do domu rodzicielskiego, w ręce bony i guwernantki.

Do roku dziesiątego mniej więcej zostawała dziewczynka pod bezpośrednią opieką rodziców. Opieka ta polegała na tym, że panienka miała prawo raz na dzień, zwykle około jedenastej zrana, ukazywać się w pokoju matki i ojca, aby im powiedzieć „dzień dobry” i ucałować ręce. Resztę dnia spędzała w towarzystwie nauczycielki i służby.

Pod dozorem guwernantki uczyła się czytać, pisać, rachować, katechizmu, trochę geografii, przede wszystkim zaś form towarzyskich, zachowania się w salonie i t. p. „manier”.

Wiek, którego treścią, duszą, aż do wybuchu rewolucji była w wyższych sferach sztuka życia towarzyskiego (salon), który doprowadził tę sztukę do nieznanej dawnym pokoleniom doskonałości, subtelności, wytworności, wtłaczał już dziecko pięcioletnie w żelazny kaftan form, uczył je tańca, chodzenia, ukłonów, frazesów światowych, ubierał je w gorsety jedwabne, modnie skrojone suknie, zeszpecił je koafiurami dorosłych pań, malował jego buzię różem i bielidłem, oblepiał muszkami.

Niemądry ten zwyczaj zmienił się dopiero pod koniec stulecia, pod wpływem marzeń Jana Jakuba Rousseau’a o „powrocie do natury”.

Po skończeniu edukacji domowej, dziewczynki oddawano ją do klasztoru.

Dwa głównie klasztory paryskie, de Panthémont i de la Présentation upodobała sobie szlachta francuska XVIII stulecia. W trzecim, znanym paryskim pensjonacie damskim, a siostr de Sainte Marie, chowały się córki wysokiej biurokracji i finansów.

Bogatsze klasztory francuskie XVIII stulecia uległy wpływowi czasu, który stał się pobłażliwym dla słabości ludzkich. Wprawdzie obserwowały zakonnice swoją regułę, ale nie one

tylko mieszkwały w murach klasztornych. Poza kratami klauzury roily się domy i domki, należące do Zgromadzenia, gośćmi świeckimi.

Bogatsze klasztory francuskie XVIII stulecia były rodzajem schroniska dla wszystkich kobiet wykołejonych, nieszczęśliwych, rozczarowanych do życia. Arystokratka, zdradzana przez męża, lub zdrażająca go sama, zubożała marnotrawstwem własnym albo swojej rodziny, kochająca nieszczęśliwie, dotknięta głęboko śmiercią kogoś bliskiego, spragniona w ogóle z jakiegokolwiek powodu ciszy, zapomnienia, wycofywała się na pewien czas z wiru światowego. Za niewielkie pieniądze otrzymywała w klasztorze mieszkanie, utrzymanie, służbę i spokój, którego jej serce potrzebowało.

Te dobrowolne pensjonarki klasztorów żeńskich nie składały oczywiście żadnych ślubów. Żyły one „na dewocji”, nieskrępowane obowiązkami reguły, rozporządzając swoim czasem według własnej woli: wychodziły między ludzi, kiedy im się podobało, przyjmowały gości, zabawiały się muzyką, lekturą, czasami nawet teatrem amatorskim. Z niemi weszło do klasztoru tchnienie nowych czasów, niemające nic wspólnego z surowością ascetyzmu.

W otoczeniu wypoczywających po rozczarowaniach życia dam światowych rozwijała się, dojrzewała córka szlachecka. I jej bezpośrednie mistrzynie, zakonnice, należały do sfer, z jakich ona pochodziła.

Wichrząca w stuleciu osiemnastym we Francji ospa zaludniła klasztory szlachciankami. Bo w epoce rozpasanych zmysłów, galanterii, rozpusty, nie było w świecie miejsca dla kobiety, zeszpeconej śladami ospy. Z całym egoizmem i okrucieństwem zmysłów, łaknących rozkoszy, mówiono: „Kobie-

ta brzydka jest istotą, która nie posiada żadnego stopnia w naturze i żadnego miejsca w świecie”.

Pozbawiona przez ospę „stopnia w naturze i miejsca w świecie” panienka, skazana na samotne życie bez miłości, bez męża i własnego dziecka, szła do klasztoru, gdzie nie trzeba było zdawać egzaminu z urody, gdzie ją przytulano bez wstrętu do twarzy podziobanej. Klasztor dawał jej „stopień”, jakiego jej świat odmawiał, wynosił ją z czasem, z latami do godności przeoryszy lub ksieni, albo przyozdabiał ją gronostajem i krzyżem kanoniczki.

W swoim otoczeniu, wśród kobiet, należących do jej świata, dorastała córka szlachecka. Uczyła się niewiele, głównie przedmiotów, potrzebnych przyszłej pani domu i damie salowej: religii, historii, literatury francuskiej, gospodarstwa, szycia, muzyki, śpiewu, tańca.

Właściwa jej nauka zaczęła się dopiero z chwilą opuszczenia klasztoru, z chwilą zamążpójścia.

Uczyło ją nasamprzód życie, a uczyło ją zatrutej mądrości rozwiązałej epoki.

Po słodyczach i zachwytach miesięcy miodowych dowiedziała się młoda mężatka, że wszystko, co marzyła o miłości w małżeństwie, było złudzeniem. Wy tłumaczył jej to zwykle sam mąż, zawsze bardzo uprzejmy, doskonale wychowany. „Nie na to pobraliśmy się, by się zabawiać w sielankę miłości, lecz na to, by owoc naszego związku – dziecko, podtrzymało nazwisko domu i odziedziczyło jego majątek, jego splendory. Małżeństwo swoją drogą, a miłość swoją. Największą rozkoszą życia jest ciągła zmiana; jednostajność nudzi, brzydnie”.

Ostudziwszy w ten sposób niepożądane, niewygodne, swobodę krępujące afekty żony, odchodził mąż w „swoją

stronę”, do metres, do t. zw. przyjaciółek. Jest to jeden z głównych powodów, dlaczego pana widać tak rzadko w salonie pani.

A ona, młoda żona?

Ona płakała prawdopodobnie z początku, następnie jednak pouczona przez jakąś starszą przyjaciółkę, rzucała się z całym temperamentem młodości z całym głodem młodego życia w wir światowy, w wir zabaw, wizyt, teatru, proszonych obiadów, kolacji, przeciągających się do rana, skandalów i skandalików, zwłaszcza, iż „pan jej i władca” nie uważał za potrzebne być czujnym kontrolerem i surowym sędzią jej postępów. Był zanadto „dobrze wychowanym”, by odgrywać rolę zazdrosnego męża. „Dobre to dla mieszczuchów”.

Rozumie się, że i wyższe warstwy społeczne XVIII stulecia mogły się pochwalić dobrymi, kochającymi się stadłami. Pamiętniki owego czasu wymieniają cały szereg małżeństw wzorowych (państwo de Choiseul, de Richelieu, de Maurepas, de Croissy, de Beauvau i in.), typem jednak małżeństw arystokratycznych był związek konwencjonalny, który zostawił, mimo bardzo surowego pod tym względem prawa, kobietom lekkomyślnym i zmysłowym pełną swobodę.

Co rozpoczął libertynizm obyczajowy XVIII wieku, to wykończyła, uświęciła wiedza i literatura.

W salonach wielkich dam, na proszonych obiadach i kolacjach spotykała młoda mężatka, zaniedbywana przez męża, słynnych uczonych, filozofów i literatów. Od nich, od apostołów czystego rozumu, od oświeconych, dowiadywała się, że katechizm, którego uczyły ją w domu bony, w klasztorze zakonnic, jest „przeżytkiem”, że religia, stworzona dla dzieci, dla naiwnych wieków średnich, ustąpiła miejsca rozumowi,

że człowiek jest maszyną, „kreaturą rezonującą i pożądającą rozkoszy, że małżeństwo krępuje miłość” (Diderot).

Słyszac ciągle dokoła siebie dysputy naukowe, literackie, artystyczne, które były główną treścią rozmów salonów paryskich XVIII stulecia, ocierając się ciągle o koryfeuszów wiedzy i literatury, dama światowa, by nie uchodzić za ignorantkę, rzuciła się chciwie do książki. Czytała nasamprzód z upodobaniem Voltaire’a, Diderota, potem zabrała się do poważnej nauki ścisłej.

Opowiada pani de Genlis w swoich pamiętnikach (*Mémoires*, tom II), że panie z najwyższego towarzystwa łączyły się w kółka po kilkanaście osób i słuchały w salonach wykładów chemii, fizyki, historii naturalnej. Margrabina de Nesle, hrabina de Brancard, hrabina de Polignac, niezadowolone wykładami salonowymi, uczęszczały do laboratoriów, gdzie śledziły z wielką uwagą i pilnością doświadczenia eksperymentujących uczonych.

Głównie medycyna podniecała ciekawość eleganckich pa-ryżanek z towarzystwa. Wszystkie wybitniejsze damy francuskie z epoki przedrewolucyjnej uczyły się medycyny, chirurgii, anatomii. Były między nimi bardzo zdolne lekarki jak hrabina de Voisenon i margrabina de Voyer i bardzo żarliwe chirurgiczki jak hrabina de Coigny.

Duch czasu, który, uzbroiwszy się w ostry skalpel krytycyzmu, burzył powagę religii, Kościoła i tradycji historycznej, porwał i kobietę w swoje wiry zawrotne, odrywając ją od naturalnych obowiązków żony i matki. Małżeństwo nauczyło damę francuską libertynizmu obyczajowego, filozofia zaś i wiedza, oparte tylko na rozumie – libertynizmu umysłowego. Wszystko: konwencjonalne małżeństwo, czczość salonu, pogoń za rozkoszą, literatura, dyletantyzm naukowy, chci-

wość zmieniających się ciągle wrażeń i wzruszeń – składało się na wytworzenie typu kobiety eleganckiej, wytwornej, bardzo inteligentnej, uświadomionej, ale oschłej i wyczerpanej, znudzonej ostatecznie tym całym nerwowym rejwachem błyskotliwego życia towarzyskiego i rezonowania rozumowego, które nie mogło zadowolić i wypełnić serca niewieściego.

Wiek XVIII rozwijał rozum, podniecał zmysły kobiety starej kultury, zapomniawszy całkiem o jej serca.

Wszystkie te rezonerki, inteligentne, salonowe, te *debauchées d'esprit*, jak je nazywano, nudziły się w latach dojrzających śmiertelnie. „Nudzą mnie wszyscy ludzie, nudzi mnie życie”, skarżą się one w swoich pamiętnikach i listach. Margrabina du Deffand zazdrości drzewom, „albowiem nie cierpią na chorobę nudów”.

W warunkach korzystniejszych od szlachcianek chowała się i dojrzewała mieszcza francuska XVIII stulecia. Przede wszystkim była jej matka matką rzeczywistą. Sama ją karmiła i czuwała nad jej latami dziecięcymi, sama składała jej rączęta do pacierza i uczyła ją katechizmu.

Córka mieszczańska wносиła do małżeństwa pamięć ciepłego, serdecznego ogniska domowego, czego dziecku szlacheckiemu obyczaj wieku odmówił.

Wychowanie córki domu mieszczańskiego było w miniatrze podobne do edukacji szlachcianki. Tak samo, jak księżniczka, hrabianka i margrabianka, pobierała i mieszcza pierwszą naukę w domu, a dalszą w klasztorze, z tą tylko różnicą, że szlachcianki przebywały pod opieką zakonnic zwykle aż do zamążpójścia, nie-szlachcianki zaś tylko rok, najwyżej dwa.

Tak samo, jak panny „dobrze urodzone”, uczyły się córeczki mieszczan oprócz katechizmu, czytania, pisania, ra-

chunków i robótek, także tańca i muzyki, z tą tylko różnicą, że nie miały później w życiu sposobności wypolerować, wydoskonalić tych „talentów towarzyskich”, nie bywały bowiem w wykwintnych salonach.

Nie bywając w „towarzystwie”, w „świecie”, nie zarażały się libertynizmem obyczajowym i umysłowym „towarzystwa”, „świata”, nie nauczyły się lekceważyć zaprzysiężonej wiary małżeńskiej, czci, czystości ogniska domowego.

Niższe pod względem towarzyskim i umysłowym od szlachcianek, przewyższały je mieszczanki zdrowiem duchowym, czystością obyczajów. Wychowane skromnie, przywykłe od lat najmłodszych do pracy około domu, do gospodarstwa, kuchni, do robót kobiecych, nienarażone na pokusy i nudy życia próżniaczego, strzeżone przed zamążpójściem przez matki, a po ślubie przez męża, spełniały uczciwie obowiązki uczciwej kobiety. Taka np. pani Roland, aczkolwiek bardzo urodziwa i odczuwająca słodycz miłości, zachowała wiarę znacznie od niej starszemu małżonkowi, nie splamiła się lekkomyślnymi romansami.

Skromność zwyczajów i obyczajów odnosi się jednak tylko do mieszczaństwa uboższego. Bogatsze, zbliżone więcej do sfer przodujących majątkiem, ogładą towarzyską i stosunkami osobistymi, zaczęło już około r. 1750 naśladować „świat”, salony. W miarę, jak się szlachta pod wpływem filozofii i literatury demokratyzowała, wyższe mieszczaństwo (finanse, urzędnicy, inteligencja) nabierało upodobań arystokratycznych. Tytuł „pani” (Madame, Mademoiselle), przysługujący wedle prawa i obyczaju tylko szlachciance, zsuwał się powoli z góry na dół. W drugiej połowie XVIII stulecia były już wszystkie kupcowe paryskie „paniami”. Bogatsze z nich

chodziły do kościoła z lokajami, którzy nieśli za nimi książki do nabożeństwa.

Arystokratyzujące się mieszcзки odegrały później w rewolucji bardzo dużą rolę, podniecając ambicje swoich mężów, braci i krewnych. Dość przeczytać pamiętniki pani Roland, typowej przedstawicielki pnącego się w górę, sięgającego po władzę Stanu Trzeciego, by zrozumieć, że nie same tylko doktryny polityczne i socjologiczne wpłynęły na przebieg krwawych wypadków. Co stwarza duch czasu, konieczność historyczna, to psują zwykle ambicje i namiętności ludzkie. Na dnie wielkiej tragedii syczy bardzo często sykiem żmii pospolita zawiść.

Na scenie rewolucji, w pełnym oświecenia olbrzymiego pożar widać wprawdzie bardzo mało kobiet, za jej kulisami jednak gra cały legion czynnych, ruchliwych komparsek. Wiadomo, że w Zgromadzeniu Narodowym i Prawodawczym nie wygłoszono ani jednej wybitniejszej mowy, której by przedtem nie wysłuchały i nie ocenzurowały nadobne słuchaczki. Każdy list, każde rozporządzenie Rolanda z czasów jego działalności ministerialnej, czytała, oceniała pani Roland.

Więcej, niż przedstawicielek Stanu Trzeciego porusza się na wielkiej scenie rewolucji kobiety z ludu miejskiego. Przekupki, t. zw. „damy z hal”, głównie słynne z krzykliwości i grubiaństwa handlarki ryb (*les poissons*), szły śmiało w ogień, brały czynny udział w zaburzeniach ulicznych i w zamachach zbrojnych.

Był to jeszcze materiał całkiem surowy, gruby, nieociosany ani w domu, ani w szkole.

Wiecznie zapracowana, jak wół na zagonie, ciągle w pogoni za chlebem powszednim, nie miała kobieta z ludu czasu

i sposobności do pomyślenia o kulturze umysłowej, etycznej i towarzyskiej. Wniosła ona do rewolucji dzikie instynkty i nieokiełznane niczym namiętności człowieka-zwierzęcia, podnieconego gorzałką. Pijaństwo było w XVIII stuleciu wśród francuskiego ludu miejskiego bardzo rozpowszechnione, co poświadczają historycy owego czasu. Kobiety upadłe rekrutowały się głównie z tych warstw wydziedziczonych, którymi się demagogowie rewolucji posługiwali, jako narzędziem do wcielenia swoich doktryn politycznych i socjologicznych, do zbudowania „idealnego państwa przyszłości”.

III. SALONY PARYSKIE

Wysokie znaczenie inteligentnej kobiety francuskiej XVIII stulecia uwypukliło się najwyraźniej w słynnych salonach paryskich, które były jej dziełem i przyjemnym wypoczynkiem po burzach młodości.

Pierwsze zmarszczki, pierwsze siwe włosy, przypomniały damie światowej, kołyszącej się dotąd z wielką swobodą na spienionej, szumiącej fali rozkoszy zmysłowych, że kobieta w „pewnym wieku” staje się śmieszną, gdy nie umie, nie chce się zestarzeć. Dawniej szukały wycofane z kursu światowego emerytki pociechy w dewocyi. Ale lwica towarzyska XVIII stulecia była zbyt „oświecona”, zbyt przepojona krytycyzmem swojego czasu, by się chciała przyznać do niemocy rozumu ludzkiego, i przywykła zanadto do gwara życia światowego, by się chciała wyrzec jego pracowitego próżniactwa. Mówiła przecież margrabina du Deffand, iż wolałaby towarzystwo pierwszego lepszego zakrystiana, niż wieczór spędzony bez towarzystwa.

Nie chcąc szukać pociechy po zwiędłych kwiatach młodości w dewocji lub w spełnianiu obowiązków matki, nie umiając żyć bez gości, otaczała się dama światowa na stare lata gromadką ludzi, którym wystarczała przyjemna pogawędka w salonie, przy obiedzie lub kolacji. W ten sposób, bawiąc innych, bawiła siebie.

Do stworzenia salonu francuskiego, który stał się wzorem dla zebrań towarzyskich całego świata cywilizowanego, przyczyniły się dużo: wrodzona Francuzowi gościnność, usposobienie towarzyskie, uprzejmość i dar łatwej, błyskotliwej, lekkiej, z przedmiotu na przedmiot zręcznie prześlizgującej się gawędki. Ociężały Niemiec, poważny Anglik, zbyt gwałtowny, namiętny Włoch nie są dobrym materiałem na salonowca.

Lekka, porwana konwersacja jest dla Francuza tym, czym lot dla ptaka – mówi Taine (H. Taine: „Les origines de la France contemporaine”. Wydanie XXV; tom I, str. 193). Zawsze wesoły, dowcipkujący, opowiadający doskonale, umiający podać rzecz najdrażliwszą w formie możliwej, jest lekomyślny trochę Gall z urodzenia bardzo miłym towarzyszem.

Z początku były salony paryskie tylko zwykłymi bawialniami bez poważniejszego podłoża. Zbierano się, by przepędzić czas w przyjemnym towarzystwie, spotkać znajomych, plotkować, zjeść dobry obiad, dobrą kolację, dowiedzieć się nowin dnia, grać w karty. Szlachta francuska, pozbawiona przez koronę znaczenia politycznego, rozpróżniona, zgnusiała, nie wiedząc, co robić z czasem, którego miała za wiele, szukała chciwie rozrywek, żyła tylko dla nich. Dziwi się baronowa d'Oberkirch, temu pracowitemu próżniactwu. „Tu, w Paryżu – skarży się w swoich „Pamiętnikach” – nie należę

do siebie, mam zaledwie czas porozumieć się z mężem i załatwić bieżącą korespondencję. Nie wiem, jak urządzają się kobiety światowe; chyba nie mają rodzin do utrzymania, dzieci do wychowania”.

Ale duch czasu, błyskający już w pierwszej połowie XVIII stulecia błyskawicami nadciągającej rewolucji, zmienił wkrótce pospolite bawialnie w rodzaj eleganckich klubów literacko-politycznych. Słynne salony paryskie nazwano później *bureaux d'esprit*.

Bo duch czasu, duch buntu przeciw istnjącemu porządkowi uspokoił krytycznie nie tylko sam Stan Trzeci, jak się powszechnie mniema. I stany uprzywilejowane: szlachta i duchowieństwo, ujarzmione przez koronę, zżymały się przeciw narzuconemu im jarzmu, słuchały z przyjemnością haseł bojowych opozycji. Banalna konwersacja salonowa podniosła się o cały ton, ożywiła się, pogłębiła. Salon stał się ogniskiem opinii publicznej, w którym fermentowały, dojrzewały wszystkie nowe idee, i kuźnią sławy ludzi i dzieł ich.

Nowe idee, które miały pod koniec wieku wzniecić pożar rewolucji, iskrzyły się, tliły nasamprzód w książkach, zanim rozplonęły w klubach politycznych, w sejmie, i zanim wyszły na ulicę.

Epoka przedrewolucyjna we Francji należała do uczonych i literatów. Oni to, zapłodnieni tchnieniem ducha czasu, druzgotali słowem żywym i pisanym całą przeszłość, poddawali tradycję historyczną ostrej krytyce. Oni też królowali w salonach paryskich, byli ich główną dekoracją i atrakcją. Każdy większy salon starał się mieć swoich uczonych i literatów, swoje „gwiazdy domowe”. Voltaire dowcipkował, burzył powagę Kościoła w salonie pani de Châtetet, Rousseau wygłaszał swoje doktryny socjologiczne a pani d'Epina y i u mar-

szalkowej de Luxemburg, ksiądz Barthelémy olśniewał talentem swoim gości księżny Dhoiseul, Thomas, Marmontel, Gibbon bywali stale u pani Necker, encyklopedyści przewracali świat do góry nogami w salonach barona d’Holbacha, pani Geoffrin i panny de Lespinasse.

Uczeni i literaci, protegowani, pieszczeni, rozślawiani przez wielkie damy, starali się nagiąć do wytwornych form, uczyli się zwyczajów, obyczajów i języka salonów, przyodziewali się w gładką, błyszczącą skórę światową. Voltaire, syn notariusza, Diderot, syn nożownika, d’Alembert i Champfort, dzieci bez ojca i matki, pierwszy z nich znaleziony i wychowany przez szklarza, Beaumarchais, syn zegarmistrza, Marmontel, syn wiejskiego krawca, Laharpe, skazany od kołyski na miłosierdzie dobroczynności – byli wykwintnymi światowcami, bywali w najlepszych towarzystwach, przyjmowani wszędzie z wielką uprzejmością i radością. Jedyne Rousseau, zawsze nieokrzesany dziwak, nie umiał się wypolerować w świecie, przyjął form dobrego towarzystwa, jakkolwiek mu nie zbywało na sposobności do polityury towarzyskiej.

Już najdawniejszy salon paryski XVIII stulecia, salon pani de Lambert, zerwał z tradycjami bezmyślnej światowości. U pani de Lambert, której wyróżnianymi gośćmi byli Fontenelle, ksiądz de Mongaut, Sacy, prezydent Hénault i znakomitsi „nieśmiertelni” Akademii Francuskiej, nie grano już w wista, w tric-trac’a, nie plotkowano. Czytano dzieła, przygotowane do druku, oceniano je, omawiano kandydatury przyszłych wyborów do Akademii, robiono przyjaciółom sławę. Ze środowych obiadów pani de Lambert wyszło wielu „nieśmiertelnych”, wykwitło wiele znakomitości chwili, o których potomni zapomnieli.

Salon jednak pani de Lambert nie miał jeszcze szerokiego rozgłosu właściwych bureaux d'esprit. Pierwszym takim „biurem inteligencji”, ogniskiem nowych prądów, idei, kuźnią urzędową znakomitości był salon słynnej pani de Tencin.

Mądrą głową była ta pani de Tencin, tym mądrzejszą, iż nie narzucała swojej mądrości nikomu – umiała ją doskonale ukryć.

Opowiada Marmontel (*Mémoires*), że kiedy rozmawiał po raz pierwszy dłużej z panią de Tencin, zrobiła na nim wrażenie tylko dobrej, uprzejmej, dla młodych talentów bardzo życzliwej damy. A ta tylko dobra, uprzejma dama należała do najbystrzejszych umysłów swojego czasu.

Cnotliwą pani de Tencin (ur. 1681, um. 1749) nie była w latach młodych, ale cnota niewieścia nie należała do ideałów jej czasu. Znużywszy się miłością i intrygami politycznymi, w których celowała, założyła w Paryżu pierwszy właściwy salon literacki. Aby być dopuszczonym do tego bureau d'esprit, wystarczało posiadać jakiś talent literacki. Pani de Tencin nie pytała kandydatów do swojego salonu o cenzus majątkowy lub pergaminy genealogiczne. Ona pierwsza wprowadziła literaturę w „świat”, zajęła się nią, protegowała ją bardzo serdecznie, wywalczyła dla niej prawo obywatelstwa w najlepszym towarzystwie stolicy.

Bardzo rozumna, bardzo wykształcona, lubiąca literaturę (sama była autorką), bawiła się pani de Tencin w latach starszych najlepiej w towarzystwie ludzi utalentowanych i oświeconych. Marivaux, Fontenelle, Mairan, Montesquieu byli jej gośćmi stałymi. Posiadała ona talent, bardzo użyteczny dla gospodyni wielkiego salonu: umiała słuchać z uwagą i zajęciem.

SPIS TREŚCI

I. ZNACZENIE KOBIETY FRANCUSKIEJ W XVIII STULECIA	3
II. WYCHOWANIE KOBIETY FRANCUSKIEJ XVIII STULECIA	9
III. SALONY PARYSKIE	18
IV. PANI DE CONDORCET	32
V. PANI BAILLY. ŻONY DANTONA. LUCYLLA DESMOULINS	37
VI. PANI ROLAND	47
VII. KOBIETY Z LUDU. PROSTYTUTKI. „DAMY Z HAL”. RYBACZKI	66
VIII. THÉROIGNE DE MÉRICOURT	72
IX. JAKOBINKI. RÓŻALACOMBE. EMANCYPANTKI. OLYMPIADE GOUGES	78
X. WIELBICIELKI ROBESPIERRE’A	88
XI. BOGINIE ROZUMU	94
XII. SZARLOTTA CORDAY D’ARMONT	98
XIII. REAKCJA PRZECIWREWOLACYJNA. KOBIETY Z LUDU. PANI TALLIEN	108
XIV. PANI DE STAËL	122
ZAKOŃCZENIE	126